

Raymond Queneau
Daleko od Rueil

Przekład Anna Wasilewska
Posłowie Harry Mathews

Państwowy Instytut Wydawniczy



Odpadki wysypały się z wiadra i z impetem wpadły do śmietnika; skorupki jajek, ogryzki, zatłuszczone papiery, obierzyny. Mdły i gnilny zapach towarzyszył tej erupcji, zapach nie tak znów nieprzyjemny, nieco pokrewny woni wilgotnego mchu w głębokim lesie, ale z cynowym posmakiem z uwagi na pojemnik, obok którego ustawia się mały wózek, służący o świcie śmieciarzom do wywózki wzdłuż chodnika. Wiadro, wolne od zawartości, zawieszono na męskim ramieniu, miało właśnie rozpocząć wędrówkę na szóste piętro, kiedy pojawiła się służąca. Uznała, że opróżnianie wiadra ze śmieci to nie jest robota dla mężczyzny, ale nie pisnęła ani słowa, dyskretnie nie chcąc komentować tej męskiej sylwetki, zaszczycającej swoją obecnością w szlafroku korytarz kuchennych schodów.

Dżentelmen zaproponował pomoc, bo to, co niosła, wyglądało na ciężkie, ale odmówiła. Pyta ją również, czy od dawna tu jest, nie, dopiero od dzisiaj. O czym wiedział, bo znał służbę w kamienicy, jej zwyczaje i nawyki, wyjścia i wejścia. Wspięli się po schodach w milczeniu. Dotarli na górę; on, owinięty w jedwab o deseni w gałązki, mieszkał na

mansardzie z powodu upodobania do pracowni malarzkich pod dachem, chociaż nie był malarzem.

Sugeruje dziewczynie, żeby na chwilę weszła. Co też pan, ona na to. On wzrusza ramionami. Za kogo ona go bierze? Robi kilka kroków, żeby dyskretnie zapukać do drzwi, przed którymi biedak nuci kilka taktów z Traviaty. Od razu pojawia się młoda osóбка o jędrnych pośladkach i bez wahania proponuje belotkę we troje, pytając, to ty jesteś ta nowa. Mam na imię Thérèse, mówi, a tamta, że nazywa się Lulu Doumer.

Gość nalega, czy Lulu Doumer nie zagrałaby w belotkę? Ona nie umie. Otworzył drzwi mieszkania i weszli. Światło elektryczne ukazało Lulu Doumer to, czego w swoim krótkim życiu nie miała jeszcze okazji zobaczyć: wnętrze artysty, miękkie dywany, twarde poduszki, chińskie bibeloty, rozproszone oświetlenie, średniowieczne halabardy, bretońskie krucyfiksy, zdjęcia akropoli, przedmioty równie fałszywe, co spurchłałe, i całą masę innych rupieci tego rodzaju.

Całkiem tu fajnie, mówi Lulu Doumer, która ma czternaście lat.

– Zatkąło cię, co – mówi Thérèse. – Żadna tam lipa, cały ten bajzel. Podziwiał konkret.

To ci dopiero, powtórzyła Lulu Doumer, to ci dopiero.

– Nieczęsto uda ci się zobaczyć taką chatę – mówi Thérèse. – Nie każdy jest poetą.

I nie każdy nazywa się Loufifi. Bywalcy w taki sposób upraszczali nazwisko Louis-Philippe'a des Cigales'a, który myszkował teraz w szafie ściennej. Wyjął butelkę alkoholu, kieliszki i ustawił je na tacy. Dołożył sucharki. Thérèse ujęła Lulu Doumer za ramię i pociągnęła ją w stronę wnęki, gdzie grobowe

głębie kanapy spoczywały pod nawisem ciężkich oparów.

Usiedli, przegryźli sucharkiem, wypili, a Lulu Doumer rozgrzana czystą wódką nagle poczuła się jak u siebie. Des Cigales rozłożył zielone sukno i wyjął talię kart.

– Szkoda, że ona nie umie grać w belotkę – mówi des Cigales.

– Nie zagramy przecież w wojnę – mówi Thérèse.

– Ona chyba nie zna brydża – mówi des Cigales.

– Nie, proszę pana – mówi Lulu Doumer.

– Ja też nie – mówi Thérèse. – Ilekroć próbowałeś mnie nauczyć, zaczynałam kimać.

– Leniwa z ciebie baba – mówi des Cigales, tasując metodycznie karty. – To co robimy?

– Mogę wam powrócić – mówi Lulu Doumer.

– Potrafisz? – pyta Thérèse.

– Tak.

– Ja też – mówi Thérèse.

– Ukrywałaś przede mną ten talent – stwierdza des Cigales i przesuwając talię w stronę Lulu Doumer.

– Komu najpierw? – pyta Lulu Doumer.

– Jemu – mówi Thérèse.

– Mnie – mówi des Cigales.

– Pan przełoży trzy razy lewą ręką – mówi Lulu Doumer.

– Zrobione – mówi des Cigales.

– W ostatniej kupce są tylko dwie karty – stwierdza Thérèse.

– Każdy ma swoją metodę – mówi des Cigales. – Nie zwracaj jej tym głowy.

– To pan – mówi Lulu Doumer, wyciągając spośród rozrzuconych kart króla kier.

Des Cigales przytaknął.

– Blondynka – ciągnęła dalej Lulu Doumer. – Trzydzieści pięć lat. Zawód? Spójrzmy. Szwaczka? Nie. A tu mamy ósemkę karo: prowadzi salon fryzjerski.

– Możesz to wyczytać z kart? – spytał des Cigales.

– Zaskoczyła cię – mówi Thérèse.

– A więc to prawda? – pyta Lulu Doumer.

– Znam panią, która uprawia ten zawód – mówi des Cigales.

– Jedziemy dalej. Dziesiątka kier: pan ją kocha. Dziewiątka kier: namiętnie. Dziewiątka pik: ona pana nie kocha. Siódemka trefl: no no, a czy to pana dama?

– Mów dalej – mówi des Cigales.

– Ósemka karo: ona kocha innego. Dama karo: to ci dopiero, nic już nie rozumiem! To kobieta!

– Nie rozumiesz! – krzyczy Thérèse. – To nic trudnego, ale za młoda jesteś.

– Ale to, co mówisz, niczego mi nie wyjaśnia – mówi des Cigales.

Lulu Doumer tasuje karty.

– Nie musisz się obrażać – mówi des Cigales.

– Jedziemy od początku – mówi Thérèse.

– Teraz pani kolej – mówi Lulu Doumer do Thérèse.

– Dziękuję – mówi des Cigales – mam dość.

– To teraz ja – mówi Lulu Doumer.

Thérèse każe jej przełożyć tylko raz lewą ręką. Stawia karty inaczej. Des Cigales zapalił, ponury i milczący, a Thérèse mówiła o utraconych rzeczach, o rodzicach, którzy są daleko, ale ją kochają,

o korzyściach z podróży i niegroźnych chorobach. W sumie wypadło nie najgorzej.

– Jest niewesoło – mówi des Cigales. – Ale jakżeby życie mogło być zabawne? Dwa dni wcześniej czy też trzy miesiące później, zawsze ten sam kram. Kiedy się gra, można na chwilę zapomnieć, ale jeśli ma to służyć przywołaniu dawnej udręki, jest gówno warte!

– Bo u pana był pik – mówi Lulu Doumer.

– To co, Loufifi, może zagramy we dwoje partyjkę écarté – proponuje Thérèse.

– Odechciało mi się.

– Nie dał mi pan czasu – mówi Lulu Doumer – może były tam jakieś dobre karty.

– Może.

– Chyba mi pan nie wierzy.

– Loufifi nie ma zaufania – mówi Thérèse – to przez chorobę.

– Co panu jest? – Lulu Doumer pyta des Cigales'a.

– Ontalgia – odpowiada Thérèse.

– Że co?

– Ontalgia.

– Co to?

– Choroba egzystencjalna – odpowiada Thérèse – przypomina astmę, ale jest bardziej dystygowana.

– Pani to jest obkuta – mówi Lulu Doumer.

– On mnie tego nauczył.

Des Cigales nabija fajkę i zapala. Ruchy ma spokojne i ociężałe. Lulu Doumer przygląda mu się, kiedy Thérèse stawia pasjansa.

– Skąd jesteś?

– Z Tancarville koło Hawru.

– A ja sparysza – mówi Thérèse.